

Adam Kunert

Polski szpital polowy pod błękitną flagą

Przegląd Historyczno-Wojskowy 12 (63)/5 (238), 214-224

2011

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

POLSKI SZPITAL POLOWY POD BŁĘKITNĄ FLAGĄ

Upłynęło sporo lat od zakończenia misji ONZ w Egipcie i działalności Polskiego Szpitala Polowego (Polish Field Hospital) pod błękitną flagą w ramach Doraźnych Siły Zbrojnych Organizacji Narodów Zjednoczonych (United Nations Emergency Forces – UNEF). W ciągu prawie sześciu lat przewinęło się przez ten szpital kilkuset lekarzy, w większości absolwentów Wojskowej Akademii Medycznej.

Polska i Kanada wykonywały funkcje logistyczne stąd Pollog i Canlog w odróżnieniu od np. Finbatt czy Ghanbatt (batalionów fińskich, ghańskich i pozostałych), które obsadzały posterunki. Uczestniczyłem w trzeciej zmianie kontyngentu polskiego (Pollog), a w drugiej zmianie szpitala od 8 grudnia 1974 do 8 czerwca 1975 roku.

W moim życiu była to najwspanialsza przygoda, ale także wyzwanie lekarskie, przed którym stanąłem, aby się sprawdzić. Byłem bowiem, jak wszyscy moi koledzy, przygotowany do pracy w warunkach stacjonarnych, w umiarkowanej strefie klimatycznej.

Do pracy w strefie subtropikalnej przygotowano nas teoretycznie. Ponadto mieliśmy pracować w kraju zniszczonym wojnami, biednym, postkolonialnym, o niskiej kulturze sanitarnej.

Pollog wykonywał zadania medyczne na rzecz międzynarodowych sił zbrojnych nie tylko z Europy, ale i z Afryki i Azji. Co prawda każdy kontyngent miał własną służbę zdrowia: lekarzy, podoficerów sanitarnych, sanitariuszy, rozwijał własną przychodnię z małą izbą chorych, ale specjalistyczną opiekę medyczną sprawowali Polacy, którzy w Ismailii rozwinęli Polski Szpital Polowy. Otwarto go uroczyście w lipcu 1974 roku, w drugiej zmianie Pollogu.

W lipcu 1974 roku zostałem wezwany na rozmowę do Szefostwa Służby Zdrowia do Warszawy. Zapytano mnie, czy zgadzam się objąć stanowisko szefa Laboratorium Sanitarно-Epidemiologicznego Polskiej Wojskowej Jednostki Specjalnej Doraźnych Sił Zbrojnych ONZ w Egipcie. Zdecydowałem się natychmiast.

Przedstawiono mi zatem sytuację epidemiologiczną naszej jednostki w Egipcie w trakcie pierwszej i drugiej zmiany, która wtedy pełniła służbę. Pierwszą zmianę, bazującą na hipodromie, nękały biegunki. Zanotowano kilkadziesiąt przypadków. To samo dotyczyło bazujących tam Kanadyjczyków. Sądzono, że to była czerwotka bakteryjna albo amebowa, gdyż biegunki charakteryzowały się wzmocnionym parciem na stolec. Były nawet takie przypadki, że żołnierz przesiadywał kilkanaście godzin na chemicznym w.c. i nie dawał się z niego ruszyć. Lekarz podłączał mu równocześnie kroplówkę nawadniającą z elektrolitami.

Zdarzały się też przypadki drastyczne. Żołnierz nie zdążył dojść do ambulatorium, gdyż po drodze następowała defekacja. Dla takiego żołnierza był to dramat. Miał pełnić misję pokojową, a tu zanieczyszczał się jak dziecko. Przyczyną tych biegunek, jak się potem okazało, była woda pobierana z hydrantów.

Szefem laboratorium sanitarno-epidemiologicznego pierwszej zmiany był ppłk doc. dr med. Wiesław Gal – wirusolog. Był tam również bakteriolog i inżynier higienista, ale nie mieli autolaboratorium. Samochód bowiem do Egiptu był transportowany drogą morską,

w którejs tam kolejności. Laboratorium zostało rozwinięte pod koniec pierwszej zmiany. Zbadano wodę, która nie nadawał się nawet do mycia. W tym czasie uruchomiono stację uzdatniania wody. Rozpoznano bakteriologicznie kilka przypadków czerwonki bakteryjnej.

W czerwcu 1974 roku do Egiptu przyleciał kpt. lek. Jan Miniszewski z Bydgoszczy, który objął funkcję szefa laboratorium. On z kolei musiał związać autolaboratorium na hipodromie i rozwijać je w obozie Al Gallah w Ismailii, co też nie sprzyjało pracy laboratoryjnej. Powiedziano mi, że mam przenieść laboratorium sanitarno-epidemiologiczne do szpitala polowego, gdzie zarezerwowano już pomieszczenia i gdzie jest część aparatury, którą zamówił ppłk Gal.

Z taką wiedzą udałem się z początkiem września na zgrupowanie do Opola, gdzie szkoliła się i przygotowywała trzecia zmiana. Tu spotkałem kilku kolegów ze studiów i poznałem nowych, przede wszystkim moich wspaniałych współpracowników: mjr. lek. Edwarda Kałę i kpt. dr. wet. Andrzeja Skoczka, z którymi potem, przez pół roku, zgodnie współpracowałem.

Na zgrupowaniu głównie szlifowałem język angielski. Zapoznano nas z prawem międzynarodowym, statusem prawnym wojsk ONZ w Egipcie i wynikającymi stąd prawami i obowiązkami. Zapoznano nas z sytuacją polityczną i ekonomiczną państwa egipskiego.

W listopadzie 1974 roku otrzymałem dwutygodniowe zwolnienie ze zgrupowania w celu odbycia przeszkolenia w Instytucie Medycyny Morskiej i Tropikalnej w Gdyni z zakresu medycyny tropikalnej. W drugiej zmianie Polskiej Wojskowej Jednostki Specjalnej Doraźnych Sił Zbrojnych ONZ sądzono, że gnębiące żołnierzy biegunki wywołuje ameba. W instytucie szczegółowo zapoznałem się z diagnostyką *Entamoeba histolytica* i różnicowaniem jej z saprofityczną *Entamoeba coli* oraz innymi pierwotniakami chorobotwórczymi (*Trypanosoma*), zarodnikowcami i pasożytami (*Schistosoma*).

Przed wylotem do Egiptu dostałem od dr. med. Przemysława Myjaka hodowlę *Entamoeba istolityca*, którą zabrałem ze sobą do Egiptu, żeby mieć możliwość wykonywania preparatów porównawczych.

Od 15 listopada 1974 roku rozpoczęła się rotacja zmian, która trwała do końca grudnia. Tak się złożyło, że „niebieskie berety” przylatywały do Gdańska i tutaj odbywały kwarantannę, w ramach której wykonywano 3-krotne badania bakteriologiczne i parazytologiczne kału. Badania wykonywała Pracownia Bakteriologiczna Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej Marynarki Wojennej, której byłem etatowym kierownikiem. Badania wykonywała bakteriolog, mgr Hanna Rzepecka, mój zastępca. U niektórych żołnierzy stwierdziła ona nosicielstwo pałeczek *Salmonella*, takich gatunków, które w Polsce nie występowały. Diagnozę bakteriologiczną opierano na cechach biochemicznych wykrytego szczepu, który aglutynował z surowicą grupową. Nie można było określić gatunku, gdyż nie aglutynował z posiadanymi surowicami monowalentnymi.

Jak się potem okazało, od kilkudziesięciu żołnierzy wyhodowano szczep *Salmonella coleypark*, który w Polsce nie występował.

Wszystkie wykryte szczepy *Salmonella* wysyłano do potwierdzenia do Krajowego Ośrodka Salmonella, który mieścił się w Zakładzie Bakteriologii Instytutu Medycyny Morskiej i Tropikalnej w Gdyni. Kierowała nim doc. dr med. Janina Lalko, która potwierdziła diagnozę naszej pracowni. Ale i ona nie mogła zidentyfikować kilkunastu szczepów *Salmonella*. Wysłała je do identyfikacji do Instytutu Pasteura w Lille, gdyż nie miała odpowiednich surowic. Okazało się, że szczepy te należą do grupy serologicznej K i stanowią gatunek

S. cerro, który w Europie w ogóle nie występuje. Na naszym kontynencie występują gatunki, które należą do pięciu grup serologicznych: A, B, C, D i E.

Wyniki tych badań zostały opublikowane w pracy pt. „Serotypy *Salmonella* stwierdzone u żołnierzy Polskiej Wojskowej Jednostki Specjalnej po powrocie z Egiptu do kraju” („Bulletin of the Institute of Maritime and Tropical Medicine in Gdynia” 1974, t. 27, nr 3, 4). Stwierdzono je u 97 osób i należały do dwunastu serotypów, z których cztery nie występowały w Polsce. Miałem zatem, już przed wylotem, wytyczony kierunek pracy w Egipcie, chociaż rzeczywistość okazała się znacznie ciekawsza i przekroczyła moje oczekiwania. Były też rafy na tej drodze i trzeba było mieć dużo szczęścia, żeby je ominąć.

Grupa około siedemdziesięciu oficerów, podoficerów i żołnierzy 8 grudnia 1974 roku wylatywała do Egiptu z międzynarodowego lotniska we Wrocławiu samolotem IŁ-68, należącym do Polskich Linii Lotniczych LOT. Wylatywaliśmy w mundurach polowych, z bronią osobistą. Rzeczy osobiste mieliśmy w walizkach i workach. Lot trwał około sześć godzin. Około godz. 14.00 wylądowaliśmy na lotnisku w Kairze, gdzie na odlot do kraju czekała grupa drugiej zmiany, która zakończyła służbę.

Egipt zrobił na mnie niesamowite wrażenie. Obserwując z samolotu kontynent afrykański, gdy nadlatywaliśmy znad Morza Śródziemnego, zobaczyłem po raz pierwszy w życiu brunatną pustynię Saharę. Potem wyłoniła się z niej oaza zieloności po obu brzegach niebieskiej linii Nilu.

Po załatwieniu formalności załadowaliśmy się na ciężarówkę i ruszyliśmy do Ismailii. Jechałem w karetce, gdyż w Egipcie każdej prawie kolumnie samochodów towarzyszyła karetka z lekarzem lub sam lekarz z zestawem do udzielenia pierwszej pomocy medycznej.

Do dzisiaj pamiętam to pierwsze wrażenie ze 120-kilometrowej jazdy przez pustynię. Było ono niesamowite. Po przejechaniu około 20 km po lewej stronie asfaltowej szosy ujrzeliśmy kamienisto-piaskowe wzgórza. U ich podstaw rozmieszczono kilka strzelnic dla różnych rodzajów broni; tu ćwiczyły strzelanie czołgi, artyleria i piechota.

Po przejechaniu dalszych 20–30 km po obu stronach szosy daleko, jak wzrok sięgał, było widać zlokalizowane w głębi pustyni okopy, ziemianki, okopane czołgi, działa. Rozbudowane były umocnienia obronne z całym zapleczem logistycznym. Podobno bazowały tutaj dwie armie egipskie, które nie zostały całkiem zniszczone na Synaju. Wycofano je, uzupełniono i dozbrojono.

Zbliżając się do Ismailii zauważyłem, że wojska egipskie były coraz mniej liczne. Jak się później dowiedziałem, była tam strefa rozrzedzonych wojsk i znajdowały się one po obu stronach strefy buforowej. Obie strony konfliktu w tych strefach (szerokość około 50 km), mogły mieć określone umową ilości sprzętu bojowego, na przykład czołgów, armat oraz żołnierzy. Pilnowali tego oficerowie amerykańscy i radzieccy, którzy nie wchodzili w skład UNEF, a tworzyli grupę obserwatorów UNSO.

Wreszcie znaleźliśmy się w Ismailii, która robiła przygnębiające wrażenie opustoszałej i zniszczonej wojnami. Jest ona położona po obu stronach słodkowodnego Kanału Ismailijskiego, który biegnie równoległe do Kanału Sueskiego i jest odnogą delty Nilu. Leży ona również na zachodnim brzegu jeziora Timsah, które łączy się z kanałem słodkowodnym i Kanałem Sueskim. W jeziorze tym była wygradzona miejska pływalnia, gdzie się kąpaliśmy. Wszędzie było dużo zieleni, która kończyła się pustynią, w miarę oddalania się od kanału słodkowodnego.

Wjechaliśmy do obozu Al Gallah. Był to duży, poangielski obiekt koszarowy otoczony murem. Wewnątrz była sieć uliczek głównych i bocznych, przy których stały drewniane, parterowe baraczki koszarowe. Było tu również nieduże lotnisko.

Jakież było moje zdziwienie, gdy przejeżdżając przez bramę, zobaczyłem żołnierzy egipskich pełniących wartę. Potem, jadąc uliczkami obozu, widziałem baraki koszarowe wypełnione żołnierzami egipskimi. Dopiero po przejechaniu kilkuset metrów droga rozdzielała się i stały tu dwa szlabany obsadzone wartownikami Ghanbattu. Na szlabanach były tabliczki informujące: Canlog i Pollog. Byliśmy więc otoczeni przez wojska egipskie.

Polska część obozu Al Gallah była już dość dobrze zagospodarowana i rozplanowana. Zrobiła to druga zmiana. Każda kompania naszego kontyngentu miała swój rejon zakwaterowania. Duży obszar zajmował parking samochodów z połowymi warsztatami naprawczymi, zlokalizowany w pobliżu kompanii transportowej. Dalej kwaterowały: kompania inżynierska i kompania obsługi. Była tu kuchnia polowa ze stołówką zadaszoną plandekami. W pobliżu znajdowała się piekarnia polowa i kantyna wojskowa. Piętrowy budynek dowództwa i sztabu Pollog mieścił się przy dużym placu apelowym. Wreszcie baraki służby zdrowia. Były tu gabinety lekarskie – chirurga, internisty, stomatologa i lekarza dyżurnego, pomieszczenia izby chorych, magazyn leków i pomieszczenia dezyfikatora. Całością kierował ppłk lek. Henryk Gola. Były tu także pokoje mieszkalne dla personelu. Baraki służby zdrowia tworzyły czworobok, ograniczając mały dziedziniec wewnętrzny przeznaczony do rekreacji.

Przed głównym wejściem do baraku był plac, na którym parkowały sanitarki. Na małym placu wśród palm stało rozwinięte autolaboratorium, przy którym był rozbity namiot wyposażony w zestawy do badania wody i żywności. W samochodzie autolaboratorium mieściła się pracownia bakteriologiczna.

W Laboratorium Sanitarно-Epidemiologicznym Doraźnych Sił Zbrojnych ONZ rozpocząłem wraz z mjr. lek. Edwardem Kałą pracę w Egipcie. Podlegał mi jeszcze żołnierz – kierowca, który pełnił funkcję pomocy laboratoryjnej.

Polski Szpital Polowy w Ismailii znajdował się na drugim końcu miasta, w odległości około 5 km od obozu Al Gallah. Zajmował cztery 4-piętrowe budynki mieszkalne w kompleksie należącym do Zarządu Kanału Sueskiego. Kiedyś mieściły się w nich biura zarządu i mieszkania pilotów, kapitanów żeglugi wielkiej, którzy pilotowali statki przepływające kanałem. Przed nacjonalizacją kanału, przeprowadzoną przez Namera, byli to Anglicy, a po nacjonalizacji głównie Polacy. Obecnie część budynków zajęła Kwatera Główna DSZ ONZ na Bliskim Wschodzie.

Cały ten obiekt, szpital i kwatera główna, zostały ogrodzone zasiekami z drutu kolczastego. Prowadziła do niego brama wjazdowa, przy której stał wartownik. Służbę tę pełnili Ghańczycy, bardzo mili ludzie. W Egipcie była zima. W nocy temperatura spadała do 8°C. W dzień wahała się od 16 do 18°C. Było im tutaj zimno. Na mundury zakładali zimowe płaszcze, a na głowach nosili kominiarki. Przy spotkaniu sprężyście oddawali honory wojskowe, dodając: „Cześć! Pozdrawia cię czarna kolega”.

Cztery budynki szpitala tworzyły czworobok i były ogrodzone. Między nimi był dziedziniec, na który wjeżdżało się przez bramę. Dwa budynki szpitalne przylegały do asfaltowej ulicy z chodnikiem. Do nich wchodziło się bezpośrednio z ulicy na klatkę schodową. Na każdym poziomie były dwa mieszkania 4-pokojowe z kuchnią, łazienką, ubikacją i holem.

W pierwszym budynku od ulicy, na parterze i na pierwszym piętrze mieściła się poliklinika z gabinetami różnych specjalistów oraz gabinetem stomatologicznym i protezownią. Był tu też gabinet rentgenowski. Na drugim piętrze jedno całe mieszkanie zajmowało laboratorium kliniczne, w którym na początku pracowałem. Drugie, *vis à vis*, stało puste i czekało na przeprowadzkę Laboratorium Sanitarно-Epidemiologicznego DSZ ONZ. Na trzecim piętrze znajdował się oddział obserwacyjno-zakaźny kierowany przez ppłk. lek. Romana Sworenia, z którym bardzo miło i owocnie współpracowałem. W drugim od ulicy budynku na parterze mieściła się apteka i magazyn sprzętu medycznego. Na pozostałych piętrach w poszczególnych budynkach były pokoje przeznaczono na mieszkania dla oficerów i podoficerów.

Dwa budynki w głębi, miały następujące przeznaczenie: w pierwszym na parterze mieściła się izba przyjęć szpitala, gabinet opatrunkowy i sala do udzielania pomocy w nagłych wypadkach. Na pierwszym piętrze była sala operacyjna. Wszystko to, łącznie z drugim piętrzem zajmował oddział chirurgiczny. Na trzecim i czwartym piętrze znajdował się oddział internistyczny.

W drugim budynku na parterze urządzono kuchnię szpitalną i stołówkę dla personelu szpitalnego. Na pierwszym piętrze mieściła się kantyna, świetlica i sala odpraw, na drugim magazyny. Ostatnie dwa piętra przeznaczono na internat żeński. Po drugiej stronie ulicy, *vis à vis* apteki, był niezabudowany plac, na którym ustawiono namioty dla żołnierzy służby zasadniczej: sanitariuszy, kierowców, wartowników.

Po czterech tygodniach zamieszkiwania i pracy w obozie Al Gallah przeniosłem się na stałe do szpitala, tam bowiem przebazowano moje laboratorium. Tak rozpoczął się drugi rozdział mojej przygody w Egipcie. Zabraliśmy się ochoczo do pracy. Okazało się, że w szpitalu było dużo desek, kantówek, płyt laminowanych, skrzyń po sprzęcie oraz potrzebnych narzędzi. Z tych materiałów pozbijaliśmy odpowiednie stoły, stoliki, półki, regały i postumenty pod aparaturę. W aptece szpitalnej było już trochę aparatury laboratoryjnej zamówionej jeszcze przez pierwszą zmianę. Otrzymaliśmy dużą cieplarkę z bardzo dokładną termoregulacją, elektryczną suszarkę do szkła laboratoryjnego, elektryczny wyjaławiacz do płytek Petriego i probówek, 2-okularowy mikroskop Leiza, łaźnię wodną, wagę apteczną, dwie chłodziarki i aparat do destylacji wody o dużej wydajności.

Laboratorium rozplanowaliśmy następująco: w obszernym holu postawiliśmy stolik i krzeselko. Na stoliku spoczywała książka do rejestracji materiałów przywożonych do badań. Rejestracji dokonywał ten, który w tym czasie był najmniej zajęty. We wnęce holu ustawiliśmy kozetkę, którą zastawiono parawanem. Tu można było zbadać pacjenta i pobrać materiał do badań. W największym pokoju, w głębi, urządzona została pracownia bakteriologiczna. Pod oknami ustawiliśmy długi stół zbitý z desek pokrytych laminatem dającym się dezynfekować. Pod nim stała butla gazowa, z której gumowymi drenami rozprowadzaliśmy gaz do palników Bunsena. Na stole stały statywy z probówkami. W kącie zaś stolik, a na nim mikroskop. Pod ścianami na statywach – cieplarka i elektryczny wyjaławiacz do szkła laboratoryjnego, a obok chłodziarka z podłożami. Na stole ustawiliśmy lampy stanowiskowe. Na ścianie zamontowaliśmy lampę bakteriobójczą do wyjaławiania powietrza w pracowni. W następnych dwóch pokojach urządziliśmy pracownię badania wody i żywności. Kuchnię zamieniono na pożywkarnię, łaźienkę na zmywalnię szkła laboratoryjnego. Tutaj zainstalowany został aparat do destylacji wody. Dość duże pomieszczenie przy samym wejściu przeznacziliśmy

na pokój gościnny i wypoczynkowy. Udekorowany został różnymi polskimi emblematami. Tu również przyjmowaliśmy lekarzy z innych kontyngentów, którzy przywozili do szpitala pacjentów na specjalistyczne konsultacje, a do nas materiały do badań. Tu byli goszczeni i częstowani kawą, herbatą, herbatnikami.

Wspomnę jeszcze o współpracy z oddziałem obserwacyjno-zakaźnym i laboratorium klinicznym. Ordynatorem tego oddziału był – jak już wspomniałem – ppłk lek. Roman Sworeń, jego asystentem mjr lek. Czesław Łęszczak, a szefem laboratorium mjr lek. Jerzy Wróblewski. Często z Jurkiem, Edkiem i Andrzejem szliśmy „na górę”, bo tam mieli ciekawy przypadek, albo oni przychodzili „na dół” oglądać bakterie pod mikroskopem, pasożyty lub charakterystyczne hodowle na podłożach.

Pamiętam, że na oddziale na górze leczono Senegalczyka z podejrzeniem zapalenia pęcherza moczowego. Posiany mocz był jałowy, więc postanowiliśmy zbadać osad moczu pod mikroskopem. W osadzie znaleźliśmy dwa duże jaja z kolcem na godz. 11.00 należące do pasożyta przywry *Schistosoma haematobium*, wywołujące chorobę zwaną bilharcjozą. W pierwszej kolejności preparat oglądali nasi najbliżsi przyjaciele, a potem do laboratorium przychodziły całe procesje kolegów.

Szpital sprzątali młodzi Arabowie. Nasze laboratorium sprzątał młody chłopak, Hamed. Gdy ten usłyszał słowo „bilharcjaza”, podszedł do mnie i powiedział: „Panie doktor, ja też bilharcjaza”. Wziął zlewkę i oddał mocz, który odwirowaliśmy. Jakie było nasze zdziwienie, gdy oglądaliśmy preparat. Było w nim tak dużo jaj, że preparat był mało przejrzysty. Były one w różnych stadiach rozwoju. Niektóre zawierały prawie dojrzałe *miracidum* (dziwadefko). Mieliśmy wygodę z biednym Arabem, bo gdy laboratorium wizytowali lekarze różnych kontyngentów, z moczu Hameda robiliśmy preparaty bez wirowania. Hamed również był przez nas leczony po cichu, gdyż w placówkach ONZ nie wolno było leczyć tubylców.

Inne zaskakujące zdarzenie miało miejsce w namiocie, w których mieszkali żołnierze z obsługi szpitala. Żołnierz w czasie sjesty spał sobie w namiocie i został zaatakowany przez szczura. Szczur ugryzł go w nos. Prawdopodobnie żołnierzowi w czasie snu i oddychania poruszały się skrzydełka nosa. Szczura nie złapano, ale podejrzewano u niego wściekliznę. Trzeba było żołnierza profilaktycznie zaszczepić i zrobić to szybko, gdyż rana była blisko mózgu. Nie posiadaliśmy szczepionki, a egipskiej nie chcieliśmy kupować. Kwatera Główna poinformowała nas, że w Kairze w ramach WHO (World Health Organization – Światowa Organizacja Zdrowia) działa Instytut Medycyny Tropikalnej Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych Ameryki, który na pewno posiada dobrą szczepionkę.

Komendant szpitala polecił mi udać się do tego instytutu po podarowaną szczepionkę. Poznałem komendanta instytutu oraz dr. med. Davida C. Edmana, szefa oddziału bakteriologii.

A teraz o ognisku epidemicznym czerwonki bakteryjnej u marynarzy Francuskiej Floty Wojennej, ale wprawdzie muszę powiedzieć skąd oni się tu wzięli.

W czasie wojen o Kanał Sueski został on na całej długości zaminowany. Równocześnie z naszą misją pokojową – Stany Zjednoczone, Anglia i Francja podjęły się zadania rozminowania kanału. Państwa te przysłały do Egiptu swoje trałowce. Okręty te nie wykonywały zadań *sensu stricto* trałowania dna kanału, a tylko saperzy-płetwonurkowie rozbrajali miny pod wodą i rozbrojone wydobywali z wód kanału. Od strony Port-Saidu akcję prowadzili Amerykanie, od strony Suez Anglicy, w środkowym odcinku Francuzi.

Powtórne otwarcie kanału zaplanowano na czerwiec 1975 roku. Rząd egipski zwrócił się z prośbą do rządu Francji o przysłanie jeszcze jednego okrętu (pracowały dwa okręty francuskie), ponieważ na ich odcinku wystąpiły pewne opóźnienia w wykonywaniu przydzielonych zadań. Francja mogła jednak przysłać tylko grupę kilkunastu saperów, którą należało zaokrętować na odpowiednim okręcie Egipskiej Marynarki Wojennej. Tak też się stało.

Pewnego dnia wpadł do naszego laboratorium francuski aspirant, który sprawował opiekę medyczną na francuskich okrętach, z prośbą o pomoc. Okazało się, że wśród nowo zaokrętowanych saperów powstało ognisko epidemiczne czerwonki bakteryjnej.

Wykonaliśmy badania bakteriologiczne, które potwierdziły wstępne rozpoznanie. Wyhodowaliśmy *Shigella dysenteriae* 2. Trzech najciężej chorych zostało umieszczonych na oddziale obserwacyjno-zakaźnym, reszta była izolowana na miejscu. Doradziliśmy aspirantowi, aby cała grupa zrezygnowała z żywienia w egipskiej kuchni okrętowej, a jedzenie należy dowozić w termosach z okrętu francuskiego.

Wszystko miało dobry finał, a Francuzi byli nam bardzo wdzięczni. Dowódca grupy okrętów francuskich (operujących w Kanale Sueskim) zorganizował dla komendanta szpitala przyjęcie na okręcie „Cantho”. Wraz z dwoma oficerami, biegle znającymi francuski, towarzyszyłem komendantowi w przyjęciu. Francuzi znali angielski, więc nie było kłopotów z porozumiewaniem się.

Z przystani na brzegu jeziora Timsah przewiozła nas na okręt motorówka. Na pokładzie ustawiono stoliki i foteliki z ratanu, nad którymi rozpięto chroniący przed słońcem daszek z żaglowego płótna. Po zwiedzeniu okrętu komendanta zaproszono do stolika głównego. Towarzyszył mu dowódca grupy. Mnie towarzyszył aspirant i dwóch młodszych oficerów. Przyjęcie było wytworne, kameralne i upłynęło w bardzo miłej atmosferze.

Dla mnie miało ono jeszcze inne, symboliczne znaczenie. Po ukończeniu studiów otrzymałem przydział do Marynarki Wojennej i pełniłem służbę na okrętach awaryjno-ratowniczych. W ciągu dwóch lat wiele dni spędzałem w morzu, zabezpieczając nurków wykonujących prace podwodne. Będąc na tym francuskim okręcie nie miałem prawa powiedzieć, że jestem oficerem Marynarki Wojennej. Przed wizytą oficer WSW odpowiednio mnie poinstruował, a po wizycie odpytał. Takie to były czasy.

Podobnych spotkań było dość sporo. Często odwiedzaliśmy Ghanbatt, który miał stałą bazę w Fanarze, położonej nad Wielkim Jeziorem Gorzkim. Udawaliśmy się tam przeważnie z komendantem, który zabierał chętnych do jednego lub dwóch mikrobusów. Spotykaliśmy się z Ghańczykami w świetlicy przy kuflach piwa. Komendant z dowódcą Ghanbatt wymieniali drobne upominki. Śpiewaliśmy na zmianę żołnierskie piosenki. Głównym jednak celem odwiedzin była wspólna kąpiel w Wielkim Jeziorze Gorzkim. Była to dla nas wielka frajda. Woda w nim jest gorzka, czyli nazwa słuszna.

Z Wielkim Jeziorem Gorzkim łączyła się jeszcze inna sprawa. W 1967 roku w czasie wojny 6-dniowej na tym jeziorze zostało uwięzionych kilkanaście statków handlowych różnych bander, w tym polskie: m/s „Dżakarta” i m/s „Bierut”. Tu zaskoczyła je wojna, gdy płynęły w konwoju z Suez do Port Saidu i mijały się z grupą statków płynących w odwrotnym kierunku. Na Wielkim Jeziorze Gorzkim była „mijanka”. Był tu nawet jeden statek bandery amerykańskiej. Załogi w zredukowanej obsadzie wymieniały się co pół roku. Od samego początku przymusowego postoju ściśle ze sobą współpracowały. Mówiło się także o swoistej

wymianie handlowej, która odbywała się pomiędzy załogami statków. Słyszało się, że jeden ze statków wiózł do Europy z Japonii kontenery pełne kamer i aparatów fotograficznych. Może były to tylko takie „gadki” marynarskie.

Po roku postoju, bodajże Towarzystwo Lloyd wypłaciło firmom armatorskim odszkodowanie stanowiące równowartość statków i ładunków, które równocześnie stały się jego własnością i jego kłopotem. Lloyd bardzo tanio odsprzedał Polskim Liniom Oceanicznym nasze statki. Nasz armator wziął w czarter do pilnowania jeszcze dwa angielskie statki. Złączono je burtami i obsadzono kilkunastoosobową polską załogą. Chętnych do pełnienia tu służby było wielu – marynarzy i oficerów. Załoga, ze względu na strefę wojenną, otrzymywała podwójny dodatek dewizowy, chociaż miała niewiele do roboty. Do tego jeden ze statków angielskich miał ładownie pełne beczek napełnionych wspaniałym winem – malagą. Zaopatrywały się w nie wszystkie statki na Wielkim Jeziorze Gorzkim. Załogi bowiem mogły po jeziorze pływać szalupami. Nie wolno im było schodzić na ląd. Za każdym razem musiały uzyskiwać od władz egipskich specjalne przepustki. Marynarze różnych bander spotykali się ze sobą w celach towarzyskich. Urządzali międzynarodowe turnieje szachowe, brydżowe, ale i zawody piłki nożnej rozgrywane na pokładach statków.

Faktem jest, że Amerykanie po uzyskaniu od Lloyd'a odszkodowania, natychmiast opuścili swój statek, który obsadzili egipcscy żołnierze. W czasie wojny październikowej w 1973 roku Egipcjanie na tym statku założyli punkt kierowania ogniem artyleryjskim, który mieścił się na najwyższym pokładzie, tzw. radarowym. Z tego powodu statek ten został storpedowany przez samolot izraelski i osiadł na dnie Wielkiego Jeziora Gorzkiego. Za mojej tam bytności z wody jeziora wystawał nieszczęsny pokład radarowy z masztem sygnałowym statku.

Już poprzednia zmiana polskiego kontyngentu nawiązała kontakt i współpracowała z polskimi marynarzami, którzy korzystali z naszej łączności pocztowej. Dostarczaliśmy im pieczywo z naszej piekarni polowej, czasami leki i środki opatrunkowe. Oni rewanżowali się winem. Odbywało się to w Fanarze, gdzie wolno było załodze dobijać szalupą do kei. Stał tu egipski wartownik, który za dwa bochenki chleba przymykał oczy na naszą wymianę. Malaga była dostarczana w plastikowych kanistrach. Marynarze odbierali przyslaną do nich korespondencję i pieczywo, my od nich wino i listy do wysłania.

Muszę tu wyjaśnić, że wino było przeznaczone głównie dla odwiedzających szpital gości, a czasami do celebrowania różnych uroczystości. Najczęściej w naszym laboratorium gościł lekarzy fińskich. Przywozili oni z Suezu swoich żołnierzy do specjalistów w szpitalu, a do laboratorium przychodzili z materiałami do badań i tu już zostawali. Starszym lekarzem w Finbatt był ppłk lek. Ero Palomaki, a jego zastępcą mjr lek. Timo Raatikainen, przemili ludzie. Po powrocie z Egiptu przez kilka lat utrzymywałem z nimi kontakt listowy, a Ero odwiedził mnie w Gdyni, udając się na południe Europy.

Po przeniesieniu Doraźnych Sił Zbrojnych ONZ z hipodromu do Ismailii, w trakcie drugiej zmiany, szef Służby Zdrowia Kwatery Głównej Doraźnych Sił Zbrojnych ONZ, ppłk dr med. Z. Wilczyński, powołał do życia Bliskowschodnie Towarzystwo Lekarskie (Middle East Medical Society) UNEF, UNDOF (skrót angielskiej nazwy DSZ ONZ w Syrii na wzgórzach Golan, które podlegały naszej Kwaterze Głównej w Ismaili). Zrzeszało ono lekarzy wszystkich kontyngentów. Posiedzenia odbywały się co dwa miesiące. Miały one na celu zapoznawać lekarzy z problemami medycznymi na Bliskim Wschodzie. Pierwsze posiedzenie

odbyło się we wrześniu 1974 roku. Uczestniczyłem w drugim, trzecim i czwartym posiedzeniu. Drugie posiedzenie 12 grudnia 1974 roku zwołał i prowadził dr Wilczyński. Od 15 listopada 1974 roku we wszystkich kontyngentach trwała rotacja i w posiedzeniu brali udział lekarze drugiej i trzeciej zmiany. Referaty przygotowywali przeważnie lekarze ze szpitala. Na spotkanie zapraszani byli również goście z miejscowych uczelni i instytutów.

Trzecie spotkanie odbyło się 6 lutego 1975 roku. Prowadził je szef Służby Zdrowia Kwatery Głównej DSZ ONZ mjr dr med. Andrzej Przerwa-Tetmajer. W posiedzeniu uczestniczył prof. Mohamed Abd El Rajak z instytutu w Aleksandrii. Wygłosił referat na temat bilharcjozy (schistosomiozy). My uzupełniliśmy ten temat, omawiając przypadki tej choroby leczone w szpitalu. Przedstawiliśmy ponadto referat na temat uzdatniania wody i rygorów przeciwepidemiologicznych przy jej dostarczaniu.

Czwarte spotkanie odbyło się 10 kwietnia 1975 roku. Pracownicy laboratorium sanitarno-epidemiologicznego i oddziału obserwacyjno-zakaźnego szpitala przygotowali dwa referaty na temat amebozy i badań bakteriologicznych kurzych jaj z ferm egipskich. Jaja te były przeznaczone do konsumpcji w DSZ ONZ.

W posiedzeniu brało udział i wygłaszało referaty czterech lekarzy z Medycznej Jednostki Badawczej Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych Ameryki (US Naval Medical Research Unit) w Kairze. Jednym z nich był por. dr med. David C. Edman, którego poznałem wcześniej.

Laboratorium odwiedzało wiele osobistości, gdyż nasza praca budziła zainteresowanie. Gościliśmy zastępcę sekretarza generalnego ONZ, B. Lewandowskiego, członka Biura Politycznego KC PZPR, S. Kanię, ministra obrony narodowej Ghany, gen. F. W. K. Akuffo, późniejszego prezydenta Ghany, indonezyjskiego gen. Amina. Muszę dodać, że wizyty te, choć miłe, dezorganizowały naszą pracę.

Na wzgórzach Golan w Syrii funkcje logistyczne pełniła wydzielona z Pollogu kompania, którą pod względem medycznym zabezpieczał przemiły kolega mjr lek. Stefan Wołoszczuk. Bodajże na przełomie stycznia i lutego 1975 roku, wskutek opadów atmosferycznych i zalania wodą opadową ujęć wodnych, powstało zagrożenie epidemiologiczne w austriackim batalionie i polskiej kompanii, które bazowały w obozie w pobliżu Al-Kunajtiry pod masywem Hebronu. Jestem przekonany, że Stefan bez żadnej pomocy dałby sobie z tym problemem radę, ale chcąc mi zafundować wycieczkę do Syrii, zażądał mojego przyjazdu na wzgórze Golan.

W tym czasie wylatywał do Syrii szef sztabu Polskiej Wojskowej Jednostki Specjalnej, płk Czechowski, z dwoma oficerami, więc dołączyłem do nich. Wylatywaliśmy kanadyjskim samolotem transportowym „Buffalo” z lotniska w obozie Al Gallah i lądowaliśmy na lotnisku międzynarodowym w Bejrucie. Samolotem tym leciało jeszcze kilkunastu kanadyjskich oficerów i podoficerów udających się na urlop do Bejrutu. Wszystkim oficerom i podoficerom zawodowym DSZ ONZ przysługiował 10-dniowy urlop wypoczynkowy. Nasze dowództwo nie udzielało nam urlopów, ale płaciło ekwiwalent pieniędzy.

Przed gmachem lotniska czekały na nas dwa „gaziki” i polski oficer, który z Syrii przyjechał po nas do Bejrutu. W pierwszej kolejności zgłosiliśmy się do polskiej ambasady, gdzie nas ugoszczono. Potem zwiedziliśmy Bejrut, objeżdżając go samochodem. Następnie ruszyliśmy na wschód, do Syrii, jadąc drogą prowadzącą przez góry Liban ze szczytem Kurnat as-Sauda (3083 m n.p.m.) i niższe Antyliban z Dżabal asz-Szajch (2814 m n.p.m.) położone równolegle, przedzielone doliną Bekaa. W górach zaskoczyła nas śnieżycą.

Staliśmy dłuższy czas w korku samochodowym. Taka pogoda była dla nas szokiem, było nam bardzo zimno, gdyż w tym czasie przyzwyczailiśmy się do egipskiego subtropiku. Śnieg, zaspasy, temperatura około 0°C. Tutaj zrozumiałem dlaczego Palestyńczycy noszą na głowach chusty. Kierowcy samochodów ciężarowych byli nimi opatuleni.

Dotarliśmy do Damaszku i znów złożyliśmy wizytę w naszej ambasadzie, gdzie przyjęto nas spóźnionym obiadem. Następnie wyruszyliśmy do obozu pod wzgórzami Golan. Gdy dojeżdżaliśmy na miejsce, było już ciemno. Zakwaterowano mnie w baraku w izbie chorych. We wszystkich barakach brak było kanalizacji. Toaletę codzienną wykonywało się na dworze pod kranem. Były wspólne szalety i łaźnia. Pomieszczenia były ogrzewane piecami kanadyjskimi na naftę. Ze zbiorniczka na rozpaloną do czerwoności blachę ściekała kroplami nafta i spalała się błyskawicznie, bezzapachowo, dając dość wysoką temperaturę, która dobrze ogrzewała pomieszczenie.

Nazajutrz w towarzystwie Stefana złożyłem wizytę starszemu lekarzowi kontyngentu austriackiego. Zabezpieczał on medycznie batalion austriacki, pełniący służbę w strefie buforowej na wzgórzach Golan. Byłem bardzo zdziwiony, kiedy lekarz austriacki, oficer w stopniu majora, powiedział mi, że o naszej wizycie dowiedział się wczoraj wieczorem od oficerów izraelskich, których stale odwiedzał na ich terytorium. Nam nie wolno było tego robić, bo w tym czasie Polska nie utrzymywała stosunków dyplomatycznych z Izraelem. Okazało się, że strona izraelska ma na szczycie Hebronu posterunek obserwacyjny. Mają tam tak doskonałe noktowizory, że w nocy odczytują numery rejestracyjne samochodów, które wjeżdżają do naszego obozu i śledzą każdy ruch naszych pojazdów.

Wizyta przebiegała w bardzo przyjaznej i miłej atmosferze. Gdy wychodziłem z ambulatorium, zaczął mnie austriacki podoficer sanitarny w stopniu sierżanta i zapytał o stopień oficerski i wysokość moich poborów w Egipcie. Byłem zupełnie zaskoczony, gdyż nie wolno nam było odpowiadać na takie pytania. ONZ płacił za oficera i podoficera zawodowego od 1000 do 1200 dolarów miesięcznie, a my otrzymywaliśmy tylko po 300 dolarów. Szybko się namyśliłem i odpowiedziałem, że u nas jest zupełnie inaczej. Moja żona w kraju pobiera całą moją pensję, a tutaj otrzymuję kieszonkowe (Taschengeld) w wysokości 300 dolarów. Feldwebel szybko obliczył, że jego lekarz z gaży ONZ musi w kraju utrzymywać swoją żonę, więc powiedział: „sehr gut, besser, wie bei uns”.

Po powrocie do szpitala odbyłem rutynową rozmowę z naszym „gumowym uchem”. Powiedziałem mu o odwiedzinach u austriackiego lekarza i o „przepyтaniu” przez sierżanta o zarobki. Natychmiast padło pytanie: „Co mu odpowiedziałeś?”. Odpowiedziałem, że prawdę, ale odpowiednio zamaskowaną. On obliczał moją gażę w kraju w szylingach, a nie w złotychkach i wychodziło mu, że zarabiam dużo więcej od jego majora.

Z kontaktów zostałem rozgrzeszony, a moją przygodę z austriackim feldfeblem opowiedano jako anegdotę.

Na zakończenie jeszcze parę słów o spędzaniu czasu wolnego od zajęć służbowych. Pracowaliśmy od godz. 8.00 do godz. 12.00. Potem był obiad i 3-godzinna sjesta poobiednia. Znów praca i kolacja o godz. 18:30. Po kolacji odbywały się spotkania koleżeńskie, a to z okazji imienin, a to z okazji urodzin, rocznic itp. Graliśmy w karty, w szachy lub czytaliśmy książki. Sjestę zaś spędzało się na dachu. Nad internatem żeńskim był dach dla pań. My mieliśmy do dyspozycji dach nad naszym internatem i nad polikliniką. Na dachu

leżeliśmy, opalaliśmy się i czasami spaliśmy. Toczyły się tutaj przeróżne dyskusje, przekazywano różne nowinki, rozpowszechniano wiadomości z kraju, które przekazywała rodzina w korespondencji. Niektórzy koledzy byli tak opaleni, że upodobnili się do Ghańczyków. Na dach była doprowadzona woda, którą można było się polewać i chłodzić. Od kwietnia było coraz więcej much, które zaliczylibym do jednej z plag egipskich. Były ich takie masy, że w jednej chwili potrafiły obsiąść człowieka. Były bardzo dokuczliwe. Praktycznie więc już z dachu nie korzystałem. Podobnie moi współpracownicy. Czasami w czasie sjeisty chodziliśmy się kąpać w jeziorze Timsah.

W soboty i niedziele organizowano wycieczki turystyczno-krajoznawcze, najczęściej do Kairu i okolic, ale również do Memfis, Sakkary, Fajun i Port Saidu. W szpitalu oficerem kulturalno-oświatowym był kpt. Edward Żabieniecki, który zmobilizował do współpracy chirurga, kpt. dr med. Janusza Domanieckiego, i mnie. Przywieźliśmy bowiem ze sobą przewodniki i literaturę dotyczącą historii starożytnego Egiptu. Kapitan urządzał spotkania, na których wygłaszaliśmy pogadanki na temat historii tego kraju.

Pół roku minęło bardzo szybko i trzeba było powoli przygotowywać się do powrotu do kraju. W końcu maja 1975 roku przyleciał do Egiptu mój ziemiennik, kpt. dr wet. Michał Bartoszcze. Mój wylot zaplanowano na 8 czerwca 1975 roku. W Egipcie, a przede wszystkim w Ismailii, trwały przygotowania do ponownego otwarcia Kanału Sueskiego, co zostało zaplanowane na 6 czerwca 1975 roku. Był to ważny krok na drodze pojednania egipsko-izraelskiego. W uroczystości brał udział szachinszach Reza Pahlawi w otoczeniu rządu egipskiego i generalicji z prezydentem Egiptu Anwarem Sadatem na czele. Uroczystość zakończyło przepłynięcie kanałem konwoju kilkunastu statków uwięzionych na Wielkim Jeziorze Gorzkim. Statki płynęły do Port Saidu. Wśród nich dwa polskie, które już wtedy zostały sprzedane armatorowi greckiemu i płynęły do Grecji. Prowadziły je polskie załogi. Tak rozpoczęło się powolne oddawanie Egiptowi półwyspu Synaj, okupowanego przez Izrael.

W dniu mojego wylotu komendant szpitala, ppłk lek. Henryk Mikucki, zrobił mi wielką niespodziankę. Na dziedzińcu szpitala, zaraz po śniadaniu, zebrał całą załogę i ustawił ją luźno w wydłużonym kręgu, który miał przypominać kształtem okręt. Wraz z komendantem znalazłem się w środku. Komendant, dziękując mi za pracę, wygłosił krótkie przemówienie, które zakończył słowami: „Teraz przestaję przezywać Cię podpułkownikiem i powiem – żegnaj komandorze, życzę ci pomyślnych lotów, pozdrów od nas Wrocław i Polskę”.

Pożegnałem się ze wszystkimi kolegami i koleżankami. Tak zakończyła się nadzwyczaj przyjemna uroczystość, którą dla mnie przygotował Henryk.

8 czerwca 1975 roku przyleciałem do Wrocławia. Witało nas morze zieleni. Pokryte młodym listowiem drzewa, niektóre ukwiecone, okazały się takie swojskie i bliskie sercu, mieliśmy wrażenie, że wróciliśmy z innego świata. Byłem dowódcą wracającej grupy, więc w Opolu miałem jeszcze sporo spraw do załatwienia, aby po badaniach i kwarantannie pozwalniać oficerów, podoficerów i żołnierzy. Po tygodniu wróciłem do Gdyni. Tak zakończyła się moja wspaniała przygoda związana z pracą w misji pokojowej. Przez Kanał Sueski przepływałem jeszcze pięć razy. To w jedną, to w drugą stronę i zawsze przed oczami miałem tamten Egipt, tamte wspomnienia, które tu tak może niedoskonale opisałem.